Jan Tajemnik

Chadzał ongi po ziemi Jan swego nazwiska, Tajemnikiem zwany, bo ludzi unikał, na drzewa się boczył i figury przydrożne omijał. Najchętniej po lasach samotnikował, włóczęgą trudząc duszę i nogi. Duszę miał skrytą, a nogi – bose, że to mu los półzłotka na buty poskąpił.

Ilekroć bosą stopą ziemi zmacał, tylekroć sercem butów dla się zapragnął. Stąpi po ziemi – i zapragnie, zapragnie i znowu stąpi. Tyle jego, co zapragnie, a w pragnieniu był bardzo nauczny. Głodnemu chleb na myśli, a bosemu buty. Noga nieobuta – we śnie szuka buta.

Umiał Jan-Tajemnik takie buty czasami wyśnić po nocy, że nie wiedział nawet, jak je wzuć na nogi, snem dostatnim zaszczycone. Miewał bowiem z łaski snu onego i srebrne, i zgoła złote obuwie, które nad rankiem pierzchało, jak wszelka inna mara, co to z nią człek we śnie poprzestaje.

Pewnego razu wracał Jan-Tajemnik z lasu do wsi.

Noc była na świecie, noc ponad światem, a i dalej poza światami noc była pewnoć ta sama, a nie inna, bo i po cóż by się miała odmieniać i różnić, kiedy ją jednaka wola Boża z jednakiego wszędy utkała zasępienia.

Księżyc toczył się po obłokach, jakbyć go właśnie srebrnymi szprychami napierzył, żeś ledwo turkotu jego w niebiosach samochcąc nie dosłyszał.

A na ziemi cisza rozmaita: brzozowa – w brzozach, topolowa – w topolach, a płacząca – w wierzbach płaczących. A owa płacząca tak się jakoś ku ziemi chyliła, jakby kto nowym grzebieniem warkocze jej odwieczne rozczesywał. Wszystko zasię niewidzialne – i grzebień nowy, i warkocze odwieczne, i ten, kto rozczesywać raczył…

Jan-Tajemnik, bocząc się na drzewa i spode łba ciszę rozważając, zbliżył się do młyna popod wioską.

Młyn był stary, popsuty i bezużyteczny.

Coś w nim skrzypiało po nocy pilnie i pracowicie, niby z nawyku i z nałogu, którego pozbyć się nie chciał.

Światło księżycowe zieleniało na nim, krusząc się po sękach i strzępiąc się po zadrach. Popod młynem – staw i grobla przegniła.

Jan-Tajemnik spojrzał na młyn i przystanął, jakby go coś tknęło.

Księżyc, stopy jego bose światłem z mroku wyławiając, położył na lewej talara ku ozdobie, a na prawej – dukata ku pociesze.

Spojrzał Tajemnik na ową ozdobę i na ową pociechę. Jedna mu się w oczach zasrebrzyła, druga zazłociła, a on stał nadal, siłą nieznaną do miejsca przykuty. Przykuło go i nie puszczało.

Stoi i patrzy. To na nogi własne zerknie, to na młyn spojrzenie przerzuci. Oczy mu się, widać, w onej przestrzeni pomiędzy bosymi stopami a popsutym młynem zbłąkały, że ich zowąd nie mógł nijak wybłąkać.

Patrzał tak długo, aż się i czegoś dopatrzył. Ni mniej, ni więcej, jeno na kole młyńskim ktoś siedzi i z kolei patrzy tak samo, jakby mu się patrzeniem odwzajemniał. To na młyn zerknie, to na stopy Tajemnika spojrzenie z młyna przerzuci.

Nie to zdziwiło Tajemnika, że ktoś wbrew zwyczajom ludzkim na kole młyńskim siedzi, jeno to, że mu się patrzeniem tak starannie odwzajemnia.

Nic, jeno patrzy i poziera, i zerka, i ogląda.

Pewno ślepy się urodził i przejrzał niedawno – pomyślał Tajemnik.

A ów, co na kole młyńskim się utrwalił, uśmiecha się i głową kiwa, jak po starej znajomości.

Księżyc mu się na gębie uśmiechniętej wyiskrza, a on owo wyiskrzenie językiem co chwila zlizuje smakowicie, niby jaką omastę, i znowu patrzy. Zniecierpliwił się Tajemnik, bosą stopą o ziem uderzył i zawołał:

– A cóżeś ty za jeden, u kaduka?

– Piórkowski jestem, iż się tak wyrażę! – ozwał się ów z młyna i w oka mgnieniu sfrunąwszy z koła samowicie, zakrzątnął się kędyś w powietrzu i stanął tuż przed Tajemnikiem.

Zmiarkował zaraz Tajemnik, że z diabłem ma sam na sam do czynienia, ale strachu nie doznał.

Piórkowski skłonił się i dłoń na powitanie wyciągnął. Dłoń z pozoru ludzka, lecz nazbyt kosmata.

Namyślił się Tajemnik i po żmudnym namyśle dłoń podaną uścisnął, aby diabła bez potrzeby nie urazić. Uścisnął i po raz wtóry strachu nie

doznał.

– Cóż wy tu we młynie robita, panie Piórkowski? – zapytał po dobremu, aby milczenie przykre słówkiem stosownym przerwać. – Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z diabłem zawsze... Markotno mi jeno, żem na wasz widok strachu należnego sercem zgoła nie pokosztował, ażem się brakiem onego strachu dwakroć zatroskał, boć to tak, jakby gębie zabrakło splunięcia, gdy się nieszczęsnym trafem pomyjami, zamiast gorzałką, oraczy[7].

Mówiąc to Tajemnik splunął na stronę, lecz natychmiast bosą stopą plunięcie na ziemi zatarł, aby w ten sposób zatrzeć niemiłe wrażenie, które mógł na diable ów uczynek poniekąd wywrzeć.

Piórkowski udał, że splunięcia ani widzi, ani słyszy, choć głośne było i znaczne. Uśmiechnął się i rzekł:

– Nie wiem, czyli diabeł z człowiekiem zawsze się schodzi, aleć to wiem na pewno, że bosa noga czasem z butami się styka, aby się w nie przyoblec, jak przystoi. Odkąd po świecie samopas dla własnej przyjemności się włóczę, nigdym jeszcze tak bosych nóg, jak te twoje, nie spotkał! Bo, mówiąc między nami, ani one buta, ani but ich nigdy nie obarczył. Siedziałem tu – na kole młyńskim i myślałem właśnie o nich, ile że o niczym innym myśleć jakoś nie chciałem.

– A cóżeście o nich myśleli, panie Piórkowski? – zapytał ciekawie Tajemnik, kciukiem prawej nogi żłobiąc wprawnie ziemię, zwilgotniałą od rosy.

– Myślałem, że one butom, a buty by się im przydały.

– To prawda! – westchnął Tajemnik, pocierając stopą o stopę.

– Mam ja dla ciebie na widoku parę butów niezgorszych – rzekł nagle Piórkowski i ściszył głos. Ściszył głos i zbliżył się do Tajemnika. Wydało się Tajemnikowi, że i w nim się głos zawczasu ściszył, choć go jeszcze nie spróbował, jeno trzymał gdzieś w piersi na pogotowiu.

– Jakież to buty? – rzekł wreszcie, przysłuchując się własnemu głosowi. Głos był rzeczywiście ściszony.

– Czerwone! – szepnął Piórkowski i mrugnął lewym okiem.

– Czerwone! – powtórzył Tajemnik i też mrugnął lewym okiem, a jednocześnie uczuł, że mu się w tym rozmruganym oku coś zaczerwieniło i zabłysło, jakby ktoś podkówkami ognia skrzesał, a ogień potrwał jedno mgnienie i zgasł.

– Wyście to ognia skrzesali? – spytał nagle Tajemnik.

– Nie ja – odrzekł Piórkowski.

– A kto? – spytał znowu Tajemnik.

– A o jakim ogniu mowa? – mruknął niechętnie Piórkowski.

Nie umiał Tajemnik opowiedzieć dokładnie, o jakim ogniu mowa. Zaplątał mu się język – i zamilkł. Piórkowski też zamilkł.

Obydwaj pomilczeli przez chwilę.

Pierwszy przerwał milczenie Piórkowski.